

# KAMENA

miesięcznik literacki

ROK III

№ 3

## MIESIĘCZNIK LITERACKI

LISTOPAD 1935 R.

## TREŚĆ NUMERU TRZECIEGO:

BRON. L. MICHALSKI	Wędrowiec . . . . .	str. 41
LEW GOMOLICKIJ	Wspomnienie o poecie . . . . .	„ 42
FR. ARNSZTAJNOWA	Ostatni film . . . . .	„ 43
PAWEŁ HERTZ	Krajobraz . . . . .	„ 44
STEFAN NAPIERSKI	Elegja . . . . .	„ 44
LUDWIK ŚWIEŻAWSKI	Dwaj nocni przechodni w Pizie . . . . .	„ 44
LEON PASTERNAK	Nokturn . . . . .	„ 45
JAN IWAŃSKI	* * . . . . .	„ 45
STANISŁAW CZERNIK	Laurowo i konkursowo . . . . .	„ 46
JULJA WIELEŻYŃSKA	W stulecie urodzin wielkiego poety . . . . .	„ 48
GIOSUE CARDUCCI	Hymn do szatana . . . . .	„ 50
	Disperata . . . . .	„ 50
WALT WHITMAN	Śpiący . . . . .	„ 51
HANS CAROSSA	* * . . . . .	„ 51
OTOKAR BRZEZINA	Moja matka . . . . .	„ 52
FRANCISZEK HALAS	* * . . . . .	„ 52
JAN SMREK	Ballada o miłości cynicznej . . . . .	„ 53
	Pieśń wiosenna . . . . .	„ 53
RAINER MARIA RILKE	Dzień jesienny . . . . .	„ 54
GEORG HEYM	Wieczór . . . . .	„ 54
IGNACY GAŚSIOR	Serwy . . . . .	„ 54
ZDZIŚŁAW POPOWSKI	Wieczór nad Lwowem . . . . .	„ 55
MARJA SZCZEPAŃSKA	List . . . . .	„ 55
KAZ. AND. JAWORSKI	Przegląd poezyj . . . . .	„ 58
	Noty . . . . .	„ 60

Wkładka linorytowa ZENONA WAŚNIEWSKIEGO:

Motyw z Chełma.

Redakcja: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.

Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Wydawnictwo i Administr.: Zenon Waśniewski, Chełm Lub.

Reformacka 15 B.

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezcki

Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

Prenumerata roczna 10 (numerów) 4 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 25 gr.

Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunkowym (niebieskim)

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO 50 gr,



# k a m e n a

## miesięcznik literacki

---

rok III

listopad 1935 r

nr. 3 (23)

---

### W Ę D R O W I E C

Głowa, sparta wejrzeniem o czterościan ciszy  
odmyka senną różę sufitu bez szmeru.

Z izby, skąd złej jesieni i deszczu plusk słyszę,  
kamiennej doli więzień, w podróż się wybieram.

Dłoń bezmiłosną któż zamknie ciepłym uściskiem?  
Ni ciebie, ni ciebie dłoń ma z zimnego srebra:  
tylko mroczna samotność ócz nostalgją, błyskiem,  
tylko żywioł — żywiołem serca w giętkich żebrach.

Idę: — kłęski powichnięć cedzą potu gorycz.  
Jedno: — miłość, nienawiść na cięciwie chuci  
strzałą wiosny bezśmiertnej drżą i dzwonią borem  
siły, przed którą tobie ani mnie nie uciec.

Bazalt żalobnych dróg ze stóp zwiewa wicher tęsknot.  
W wicherze rosne dążeniem nad szczęście szczęśliwy;  
Żeby jaśniej — to wierszy fioletowe przęśla  
rzucam, światów mych boskich nieugięty chciwiec.

Gdy mi z drzew, próchniejących na bezdrożach, węże  
syczą śmierć: — w śmierci legniesz łachmanem bezczynu!  
Ale ja nie ustane, lęk zmrozę, zwycięzę,  
aż nad tobą, nad sobą świat jasnoskrzydły rozwinę.

BRONISŁAW LUDWIK MICHAŁSKI

## WSPOMNIENIE O POECIE

Zdaje się, że to jeszcze tak niedawno spotkałem go na ulicy. Sam mnie zatrzymał (szedłem, czytając). Bez kapelusza—było jeszcze ciepło — i włosy jego miłemi kosmykami zawijały się na skroniach. Ze swym wzruszającym, zlekka kwaśnym uśmiechem. Rozgadać nam się jakoś nigdy nie zdarzyło. Myślę dzisiaj — dlatego, że wydawało mi się zawsze, jakby czepiał się wzrokiem, niby szukając czy oczekując czegoś. Tego właśnie bałem się instynktownie: cóż mu „dać“ z siebie mogłem, a może jeszcze było za wcześnie. Czy we mnie tylko coś odczuwał, czy szukał we wszystkich — w człowieku czy — człowieka? Ze swej strony mogłem tylko współczuć jego krańcowej samotności. Widziałem, jak żył po męczeńsku, wyznając swój tragizm, swą upartą powagę on, Broniek Michalski, którego w kółku przyjaciół, w atmosferze wzajemnych żarcików nie brano zbyt poważnie. Ale inaczej nie mógł, taki już był od urodzenia. Wtedy, jak i innym jeszcze razem (gdyśmy w nocy rozstawali się na ulicy) staliśmy naprzeciwko siebie, czując potrzebę uczynienia czegoś dla któregoś z nas—ściślej dla niego — czegoś jedyne, coby ratowało, i nie wiedzieliśmy właściwie czego. Miałem w rękę wiersze Baratyńskiego (czytałem je właśnie). Rozmawialiśmy o wierszach i naszej biedzie. Powiedziałem wtedy, że „nie pozostaje nic innego, jak żyć wierszami“. Przytaknął mi jakimś nieprzytakującym tonem. A tymczasem cała powaga jego wpływała stąd, że był opanowany przez wiersze. Żył rzeczywiście tylko niemi i gdy wiary więcej nie stało, skutek był jeden: nie ma już życia. Wtedy szedł w jakiejś niepotrzebnej sprawie, która i tak przed niczem nie ratowała. W płaszczu z przykrótkimi rękawami. Trzeba było pójść za nim, coś przedsięwziąć ale co?

A oto obrazek stylowy z jego życia. Michalski czasem godzinami leżał w ciągu dnia na łóżku, położywszy nogi na poręczu. Towarzysze śmiali się z niego, lecz on z niezmaconą powagą odpowiadał: „Nie myślcie, ja ciężko pracuję. Nie piszę wierszy, ale je układam“ I miał rację, to właśnie były dni jego ostatniego „ruchu“. Należał on do specjalnego typu twórców — takich, którzy prawdziwym życiem żyją tylko w chwilach twórczości. Natechnienie—to jedyna moc, dźwigająca ich siły. Wtedy tylko myślą, rozglądają się wokoło i widzą życie prawdziwie, po swojemu. Można o nich powiedzieć, że piszą wcześniej, niż żyją. Ich doświadczenie życiowe jest doświadczeniem twórczym.

Czytałem wiersz „Topielcy“, napisany podobno na parę dni przed śmiercią. To nie prorocstwo i nie przedśmiertna notatka wierszem. To już był prawdziwy akt śmierci. Zimno, nieswojo czuje się człowiek, czytając i wiedząc o tem. Później powtórzył już tylko samnambulicznie w życiu to, co już się stało, gdy o zmierzchu leżał nieruchomo na łóżku, przymrużywszy oczy. Wtedy w brzmieniu układających się w umyśle wierszy słyszał zapewne plusk wody, jak później, gdy już tonął, musiały mu w gasnącej świadomości dźwięczeć te wiersze.

LEW GOMOLICKIJ

## OSTATNI FILM

W niesamowitem kinie  
ostatni film się śni:  
„Sen o Lublinie,  
film au relenti”  
Wycięte strzępy taśmy,  
napisów brak,  
któż sens powieści wyjaśni?  
Wszystko nawspak.  
Jakieś blade widmo wiozą  
skrycie, tajemnie  
nocą.  
Księżyc pod kołami powozu,  
koła pod nim kamiennie  
turkoczą.  
Narożnej kamienicy stróż,  
Lew, groźnie potrząsa grzywą;  
w gniewnych oczach kamienicy Sobieskich  
błyskawice niebieskie  
z pod fioków świecą,  
już z Domem Acerna siwym  
pod ramię  
wprost koni rozbieganych lecą.  
Trzy Bramy,  
wiatraki szumiące skrzydłami,  
zastępują drogę;  
za nimi tuż  
wawozem ciasnej ulicy  
tłoczą się koniom pod nogi  
Baszta z Mennicą.  
Górą  
Zamek Królewski w srebrnej łodzi  
po chmurach  
goni powóz, rozpuściwszy żagiel.  
I nagle  
Małe Lwiątko na kozioł skacze.  
Prędzej, prędzej, bo chwyci wodze  
pójdjabę!  
Ach, nie wiem, co film ten znaczy,  
i nie wiem, czemu w tem śmiesznem kinie  
ktoś gorzko płacze,  
i czemu serce tak bije  
trwogą,  
gdy wiozą tajemnie wśród nocy  
widmo niczyje.

FRANCISZKA ARNSZTAJNOWA

## K R A J O B R A Z

O, chłodne chmur archipelagi,  
 płynące, jak muzyka.  
 Obłoków wiatrem wzdęty żagiel  
 na jasnym wschodzie znika.  
 Lecz zachód, północ i południe  
 w pochmurny skryte welon,  
 jak trzy umarłe, puste studnie,  
 chłodem i nocą wieją.  
 Spowite w gwiazdy, jak w łańcuchy  
 żałobnych, srebrnych kwiatów,  
 oddają pocałunek głuchy  
 odchodzącemu latu.  
 Na wschodzie obłok jeszcze chłodem  
 o nieba tarczę trąca  
 i luna wisi nad ogrodem  
 jak lutnia już milcząca.

PAWEŁ HERTZ

## E L E G J A

Najpiękniejsze wiersze Leopardiego,  
 Najsmutniejsze, najbardziej prawdziwe,  
 Przyjaciela wspominają dawnego,  
 Zbiegłe lata, uczucia nieżywe.  
 Jakby niebem głębokiego lata  
 W dziwnym dreszczu, pełnym nadziei,  
 Przepłynęły chmury popielate,  
 Białe ptaki sinej zawiei.  
 Ach, wspominam twój głos wzruszony,  
 O, mój prosty w wyszarzałej kurtce,  
 Usta zwarte, zaciśnięte dłonie!  
 — Nie zobaczymy się wkrótce.

STEFAN NAPIERSKI

## DWAJ NOCNI PRZECHODNIE W PIZIE

Mnie i cień mój, dwóch nocnych przechodniów, nas samych  
 idących w noc przez Pizę, w oniemiałem mieście  
 zastał powiew astralny, przez świat mknąc jak przez sień.

Zegar liczył godziny za framugą bramy.

I nagle wicher hula przez ciepłe ulice.  
 Na wieży głodu blask się elektryczny wiesza,  
 kościotrup w bładem płótnie te mury i okna  
 tutaj rwąc ciała synów, sam szarpany głodem  
 nad kupą drogich kości pomarłych w męczarni  
 ojciec, straszny niedojad, zamierał Ugolin.

Mieszkanie moje obce. Ulica milczenia.  
 Na Santa Maria okno, szklana noc. Tam zjawa,  
 wylot na zrębie miasta. Wyrzeźbiona nawa  
 i spokój nieziemskiego oświetlenia.

Jakby z marmurów wyszła fosforyczna dusza,  
 jakby błyszczał przez wieki świecznik Galileusza.

W zielonym świetle cisza albo zapach mszalny.  
 Bóg, znudzony odkrywca, tutaj odpoczywa.  
 Pod jego niebem nocnym piękna wieża krzywa,  
 i tylko ja tu jestem i oddech astralny.

LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

## N O K T U R N \*)

W gniewie się cały zasklepiam  
 tkwię w celi jak nabój w pocisku  
 noc mruga gwiazdami lecz podejść się boi  
 i błędąc spogląda nam w ślepią  
 spojrz piętra na piętrach w ceglстым połysku  
 Taśmy ostro nabitych naboi.

Spiekota warg naszych o burzę woła  
 o wicher co w kraty się wplecie oburącz  
 bramy wyrwie zawiasom i runie schodami w głąb  
 a tu we dnie świszczą słońce wirujące koła  
 wsączając gorączkę opuchłym muirom  
 nocą zaś nienawistnie lśni księżycowy krąg.

Kroki biją o beton — to spada kroplami czas  
 karabin strażnika kolbą trąca o mur  
 czasem bagnet błyskiem w ciemności wystrzeli  
 i po kratkach zadźwięczy stalowy blask —  
 głosy przechodni w noc spadają jak w wór  
 i sterczy groźny arsenał — krwawy więzienny obelisk.

LEON PASTERNAK

\*) Wiersz wyjęty z mającego się w najbliższym czasie ukazać zbiorku L. Pasternaka  
 p. t. „Dzień pochmurny”

\* \*  
 \*

Z dwóch stron dwa wielkie i ponure gmachy  
 mały ogródek obległy:  
 jeden ponury i okratowany — Więzienie  
 drugi — błyszczący czerwonymi cegły —  
 Sąd  
 I każde wiosny drgnienie,  
 każdy ożywczy prąd  
 rozbija się o martwe i milczące ściany.

Biedny, więdnący ogródku,  
 jesteś, jak moja dusza,  
 pełna zwątpienia i smutku,  
 zamknięty wśród murów,  
 zdala od ptaszcącego chóru,  
 zdala od wiosny porywów i czaru.

Rozpaczna nuda,  
 niby kobieta zła, stara i chuda  
 ma tu swe panowanie.

Biedny więdnący ogródku:  
 Czy się tu kiedy dzień słoneczny stanie?  
 Czy wśród ścian zimnych mroku,  
 któregoś dnia, miesiąca, czy roku,  
 przyjdzie zniszczenia demon złotowłosa,  
 przemówi do cię potężnymi głosi  
 i ramionami ze stali  
 te mury ciężkie rozwali  
 i rzuci hasło w świat takie potężne,  
 że w proch się zwałą ramiona orężne  
 i będzie świat Wolności i Zbawienia  
 w którym nie będzie sądów ni więzienia?

Wtedy wśród słońca czaru powolutku,  
 zakwitniesz, smutny ogródku.

JAN IWAŃSKI



## LAUROWO I KONKURSOWO

Pragnę możliwie najobiektywniej zastanowić się nad niektórymi szczegółami działalności Polskiej Akademii Literatury, oraz nad wzajemnym stosunkiem tych dwu ogniw: Akademii i pisarzy. Uwagi moje nie będą zapewne zbieżne z ogólnie rozpowszechnionym poglądem, a ta rozbieżność wynika nie z jakiegoś oryginalnego sposobu oceniania zjawisk, tylko z odmienności punktu obserwacyjnego. Mój punkt obserwacyjny jest najzupełniej ustronny. Nie znam, nawet z „widzenia”, ani jednego akademika, nie znam ani jednego literata, wszelkie kulisy życia literackiego w stolicy lub większych ośrodkach są mi najzupełniej obce, w t. zw. atmosferze naszego życia literackiego nie przebywałem ani minuty. Taki punkt obserwacyjny posiada ważne zalety i ważne wady. Zaletą bezsporną jest możliwość łatwiejszego spojrzenia na całość, wadą możliwość nieuchwycenia drugoplanowych a ważnych szczegółów.

Ostatnie wydarzenia z gmachu Akademii, odbiły się rozgłosnym echem i wywołały tysiączne sprzeciwy — to sprawa wawrzynów literackich. Drugi moment — rozstrzygnięcie konkursu dramatycznego, oprócz uwag Irzykowskiego, nie przyniosł żadnego odgłosu. A jednak publicyści, zajmujący się sprawami literatury, popełnili tu jakiś wielki błąd. Według mego zdania sprawa wawrzynów jest raczej drobiazgiem, w porównaniu do sprawy konkursu dramatycznego. Rozdawanie wawrzynów należy do działań, które dla rozwoju literatury nie mają znaczenia. To należy do zjawisk obyczajowych, powiedzmy otwarcie — do niezbyt pomysłnych zjawisk, które na nieszczęście coraz bardziej przyjmują się u nas, i szkoda tylko, że Akademia bierze udział w rozprzestrzenianiu tego trącającego pierwotnością zwyczaju. Natomiast konkurs dramatyczny był zjawiskiem, które mogło mieć znaczenie twórcze, znaczenie nieobojętne dla rozwoju naszej mizernej literatury dramatycznej. To była okazja, z której Akademia, jeżeli już podjęła się tej roli, nie wolno było rezygnować.

Sprawa wawrzynów ma w sobie jakiś przykry posmak. Nie wiem, kto był twórcą tego pomysłu, ale pomysł ten był naprawdę fatalny i grzeszny. To grzech wobec literatury i społeczeństwa. Beztróskie sadzenie kwiatów na ruinach literatury, w chwili gdy potrzeba dzielnych rąk do dzwigania łopat, które usuwałyby gruzy i ratowały resztki. Rozdawanie wawrzynów w takim stanie rzeczy — to uświęcanie tych ruin. Sądzę, że tylko tego rodzaju krytyka była właściwa. Natomiast krytyka decyzji z punktu widzenia personalnego napewno jest niewłaściwa. Udzielanie laurów stało się złem koniecznym dla Akademii, Akademia zło to spełniła, jak mogła i chciała, ale wynik rozdawnictwa nie mógł być inny. Jest rzeczą zrozumiałą, że jedne osoby zostały wyróżnione, a drugie pominięte, by mogły być wyróżnione następnym razem. Jeżeli ktoś jest zwolennikiem takich odznaczeń, powinien to proste zjawisko zrozumieć i cierpliwie czekać, aż upragnione przez niego osoby zostaną udekorowane. Inna rzecz, że pierwsze błędy, które popełniono w chwili powoływania Akademii, długo jeszcze będą się mścić i stawiać instytucję w dwuznacznym położeniu. Jest pewien bolesny komizm w przyznaniu złotego wawrzynu temu, któremu opinia powszechna oddawna przeznaczała miejsce w Akademii. Ale już trudno. Akademia nie ma ochoty naprawić pierwszych błędów i trzeba się z tem pogodzić. Na usprawiedliwienie może mieć nasza Akademia niejedną kartę z historii Akademii Francuskiej, o ile tego rodzaju przykłady mogą uchodzić za usprawiedliwienie. Niemniej jednak Akademia mogła spełniać rolę budzieliłki i opiekunki, Konkurs dramatyczny był okazją, można powiedzieć, najcenniejszą. Jak się okazało, Akademia, niestety, okazję tę całkowicie zmarnowała, nie tylko nie przyczyniła się do poprawy, ale twierdząc i uzasadniając poniżej pogłębiła depresję współczesnej literatury dramatycznej. Konkurs okazał się szkodliwy w ostatecznym wyniku.

Ogłaszając konkurs, Akademia nie przypuszczała, że odkryje nowego Wyspiańskiego. Konkurs przeznaczony był raczej dla szarej masy dramatopisarzy, i mógł mieć tylko znaczenie wychowawcze. Trudno, by na zawołanie Akademii objawił się odradu skończony talent dramatyczny, gdyż takie talenty nie wyskakują jak deus ex machina. Konkurs mógł

najwyżej przynieść kilka dzieł, wykazujących talenty jeszcze nie wyrobione w trudnej sztuce dramaturgii, talenty początkujące. I te talenty należało w jakiś sposób wyróżnić, niekoniecznie przez udzielenie nagród pieniężnych, niekoniecznie przez wyznaczenie oficjalnych wyróżnień, jeżeli istotnie ani jedna praca, poza utworami Ostrowskiego i Jasnorzewskiej, na takie wyróżnienie nie zasługiwała. Jednakże 15 prac wybrano do wspólnego przejrzania. Czy istotnie między nagrodzonymi a resztą były tak wielkie różnice, że należało je skazać na zagładę? Czy ani jedna z tych prac nie była proponowana do nagrody lub wyróżnienia? Mam wrażenie, że z tą resztą jurorzy obeszlą się za bardzo bezceremonialnie, wrzucając wszystko do kosza.

Mówi się o upadku naszej literatury dramatycznej. Mówi się słusznie. Położenie początkującego pisarza dramatycznego jest u nas beznadziejne, i dopóki ta beznadziejność będzie trwać, dramat nasz nie podniesie się z upadku. Nie można żądać odrazu od początkującego pisarza, by przedstawiał arcydzieła, ale mam wrażenie, że nawet arcydzieło pisarza nieobrotnego i nieustosunkowanego zostałoby niedostrzeżone. Początkujący pisarz dramatyczny po kilku próbach musi rezygnować z pracy. Odwoływania się do dyrektorów teatrów nie prowadzą do niczego. Konkursy dramatyczne są przeważnie przekleństwem dla autorów i mają znaczenie raczej rozstrajające. Dochodzę do przekonania, że w atmosferze protekcji, w jakiej rozstrzygają się przeważnie konkursy, zwłaszcza dramatyczne, mogą się wylęgnąć tylko monstrualne nagrody, a nie wyróżnienia talentów. Przypominam sobie kilka takich konkursów z ostatniego dziesięciolecia. Krewni, koledzy, najbliżsi znajomi jurorów otrzymali nagrody, we Lwowie — lwowianie, w Krakowie — krakowianie, w Warszawie — warszawianie.

Mieliśmy przyjemne wrażenie, że konkurs Akademii rozpocznie nową erę dramatu polskiego. Że nareszcie przyjdzie sąd sprawiedliwy. Jedno tylko wydaje mi się pewne, że do jurorów z Akademii protekcja nie miała dostępu. Ale sąd nie był sprawiedliwy. Dlatego, że to nie był sąd twórczy, lecz mechaniczny przyrząd selekcji najprymitywniejszego rodzaju. Toteż rezultat takiej mechanicznej selekcji jest wręcz fatalny. Właściwie sąd nie znalazł ani jednej pracy, godnej wyróżnienia, a przyznał tylko nagrody dlatego, że się zobowiązał. Wobec tego przyznanie nagród było też raczej przypadkowe, i niczego nie oznacza, a właściwie oznacza, że każda z reszty pominiętych prac mogła w podobny sposób, pod przymusem warunków zostać nagrodzona. Nie trzeba dodawać, że takie odznaczenie jest właściwie upokorzeniem laureatów.

Odważę się przeto twierdzić, że Akademia zaprzepaściła sprawę. Nie chciała wyróżnić tych piętnastu, czy dziesięciu autorów, którzy jednak wyróżniali się, chociaż widocznie nie dali skończonych dzieł. Ale które dzieło jest skończonym arcydziełem! Dla naszej twórczości dramatycznej odkrycie tej nieznannej, chociaż niedoskonałej dziesiątki nie byłoby bez znaczenia. Za rok, dwa niejedną z nich okazałyby się tegim autorem, a może nawet dałby rzecz skończoną. Autor dramatyczny odtrącany wszędzie, pomiatany nawet przez Akademię nie znieśnie takiej atmosfery. A to przecież trwa już od lat. Przystanie się zajmować dramatami. A na drugi podobny konkurs Akademii wpłynę znowu dwieście pięćdziesiąt „dramatów“ starych pań, tylko tych piętnastu możliwych już nie będzie.

STANISŁAW CZERNIK

*Prawdziwy sympatyk „Kamenu“ jest jej prenumeratorem. Komu zależy na rozwoju pisma, ten regularnie uiszcza za nie opłatę. Jednajcie „Kamienie“ nowych prenumeratorów!*

## W STULECIE URODZIN WIELKIEGO POETY

W roku obecnym obchodzi się, czy — dokładniej — powinno się w świecie poezji obchodzić stulecie urodzin Giosu-ego Carducci. Rocznicowe odżywianie poetów jest silniej lub słabiej wyczuwaną retrospekcją, tymczasem, przynajmniej w Polsce, tego najpotężniejszego poetę Włoch po Dantem, jednego z największych w Europie w w. XIX, przytem jednego z najwcześniejszych wyróżnionych nagrodą Nobla (1905), z powodu rocznicy niemal się dopiero odkrywa. Zna go i przekłada kilku u nas poetów i kilku romanistów, ktoś coś słyszał kiedyś o jakimś Hymnie do Szatana—i kropka. Carducci godzien jest znajomości dla swego dzieła twórczego, od początku do końca pierwszorzędnego, ale i dla miejsca, jakie zajął w biegu historycznym poezji. Jest pozycją wiązaniową. Nie żeby był człowiekiem przejścia. Przeciwnie. Jest tylko sobą, jest kolosalną indywidualnością, do nikogo niepodobną. Z nikogo nie wyszedł, nie jest niczym dalszym ciągiem, nikogo nie naśladował, chyba, że go poprzez przepaść wieków chcemy dostawić do jego ideałów: starożytnych liryków greckich. Jest żywiołem wyładowaniem energii, to jego najlepsze określenie, energii twórczej a zarazem zapaśniczej, tak bowiem wyblęsnął w godzinie kształtowania się fizjonomji narodu w nowym państwie włoskiem. To niemal geologiczne wydobyć się na wierzch warstwy, czegoś od trzewi ziemi i rasy, co jest jeszcze gorące pierwotnością swoją, elementem głębi. Nie ma także następców: bo nie łatwo jest o wtórne zjawisko o tej samej temperaturze. Ma tylko malejących i stygnących epigonów.

Owa więc mimowolna rola łącznikowa idzie stąd, że Carducci jest w poezji zarazem największym dalekowidzem, nie w znaczeniu, rozumie się, usterek, jakie z temi terminami wiążemy, ale w dosłownym wzięciu ich brzmienia, to znaczy, że inwencja jego równie dobrze czuje się w mitologii epok ledwie osiągalnych dla historii, jak i na najaktualniejszym planie wydarzeń włoskich i europejskich. Umiejętność operowania takim akordem jest spadkiem po Dantem. „Boska komedja“ była z jednej strony poematem, obejmującym cały byt wszechświata po jego teologicznie rozumiane praźródło i ośrodek, a zarazem kroniką społecznej Alighieremu Florencji, pierwszą gazetą, jak kiedyś jego poemat nazwano. I Carducci umie ze swoim, od pierwszego zabrzmienia imperatorskowspaniałym wierszem wejść między rozgwar dzienników, na salę parlamentu czy sądu, i wynosić lub miażdżyć nazwiska, sprzymierzone lub wrogie jego stanowisku rewolucjonisty i radykała.

Nieraz jednak ten Herkules poezji na jeden i ten sam oddech bierze całą długość dziejową, od praaryjskich sielanek z krajobrazem tłem Azji czy Umbrji po dzisiejsze hale dworcowe, piekła ruchu, gwizd lokomotyw, pędzących przez święte krainy dawnych Latynów, huk maszyn fabrycznych, a zwłaszcza po jęk parjasów naszej epoki, robotników i nędzarzy wielkich miast. Najmilszem jednak miejscem pobytu dla muzy Carducciego jest starożytność klasyczna. Czuł się rzymianinem (Enotrio Romano — to jego młodzieńczy pseudonim), i on pierwszy zażądał od zrastającego się w jedność narodu, aby był Rzymem nowożytności. Włosi mogą na nowo wlać w życie ludów światło Aten i Romy, ich pogańskie piękno, największe, jakie było jest i będzie, ich bezgraniczne umiłowanie wolności, jasność i odwagę myśli, hart cnót obywatelskich. Ale jeden warunek: zapomnieć o ucisku człowieka nad człowiekiem, o podbojach, wchodzeniu w cudze dobro lub sumienie, o wszystkim, co zadałoby kłam drugiemu ideałowi poety: Rewolucji francuskiej. Tę rewolucyjną rzymskość Trzecia Italja ma nietylko rozpaść we własnym domu, ale nieść ją na broń plemionom, popadłym w krzywdę i wydziedziczenie. Nasza wolność i wasza! Ten najszlachetniejszy gatunek patriotyzmu na tok górnych wierszy carducciowskich wziął kilka razy i imię niewolnej Polski. Inna to zatem rzymskość od tej, którą uzurpujące sobie imię poety późniejsze pokolenie włoskie pokazało światu w karykaturze i w awanturze.

Carducci nienawidził średniowiecza, romantyzmu, które było jego odżyciem, zaprzaństwa, a z drugiej strony tyranów i przemocy, Na tych punktach jako artysta miał nietylko „lwi pazur“, ale i tygrysie kły Najgroźniejszego przeciwnika znalazł w nim drugi, „czarny“ brzeg Tybru, przeciwnika dlatego tak strasznego, że walka jego była zarazem paleniskiem poezji najwyższej miary. U celu stała mu ta sama wizja, którą rozświetlił nasz romantyzm, ale przeniesiona z marzeń i zaświatów na realny grunt, z księżycowych nocy (Carducci żywił najgorsze uczucia względem księżyca) na samo południowe słońce, misja wzięta z rąk narodu, co bezcielesny, karmił się wzlotami zza krat, w ręce innego, szczęśliwszego, który naprawdę wskrzesił, naprawdę zakładał wielką gospodarkę życiową i ideową. I gdyby odrazu, od pierwszych dni, obrał sobie godny herb i wysoki znak, mógł być światłością i bratem słabszych ludów. Carducci płomieniem pieśni swoich, pięknem widzeń i wzniosłością ideałów chciał go właśnie do tego uzdolnić.

Wierzył, że dokona.

JULJA WIELEŻYŃSKA

## HYMN DO SZATANA

(fragmenty)

— — — — Ty z mego wiersza wion, o Szatanie! — gdy rzućam krwawe Bogu wyzwanie,	Stąd gdy miłością tchnie pierś ziemianek, bierzesz je w pieczę bóg i kochanek.	Zdarł Marcin Luter zakonne stroje, o, duchu ludzki rwij pęta swoje!
Bogu złych królów, grzesznych papieży. Niech dech twój gromem w mózgi uderzy.	Jak błada strzyga wieczną podporą schodzisz wspomagać naturę chorą.	I pal się wiecznie z światłem pobratani! Wgórę, materjo! Zwyciężył Szatan!
Na Adonisa cześć i Astarty, marmury żyły płótka i karty,	Ty przed utkwiony wzrok alchemika, przed oczy maga, gdy Tajń przenika,	Piękny a straszny potwór wylata, po morzach, łądach pędzi skroś świata.
kiedy na złote Jońskie przestworza Anadiomene wstawiała z morza.	zdala od drętwej klasztoru kraty wsuwasz w błyskańcach nieznane światy.	Ogniem i dymem jak wulkan sieje, przesadza, góry, pożera knieje,
Drzewa Libanu skroń ci skłaniały, gdyś wskrzesił, kochanek Cyprydy białej.	A wy, niezzarte przez wściekle stopy, Wiklefa, Husa prorocze głosy,	zbiega przepaści i nagle ginie w mroczne parowy w dziwne jaskinie,
I płasć cię witał śród pień słodyczy, czyste pragnienia piersi dziewiczej	niechaj wasz okrzyk jak zwiastun leci dojrzałej pory, wielkich stuleci!	i znów rwie w dale niby wichr dziki, z brzegu do brzegu rzuca okrzyki.
u palm z Idumy wonných pobrzeży, kędy się fala cypryjska śnieży.	Bo już się chwieją mitry, korony, mruczy z klasztoru bunt rozniecony.	Niby wiatr dziki oddechem dymi, ludy, — to Szatan mija olbrzymi!
— — — — Przyjął cię, zbiega, śród lary swoje lud wierny, w domach dał ci ostoję.	Kazanie głosi i walką dyszy w Savonaroli sukience mniszrej.	— — — — GIOSUE CARDUCCI przełożyła Julja Wieleżyńska

## DISPERATA

Amor na śmierci wierzchowcu wdał jedzie,  
Wlokąc za sobą serce wkute w pęta.  
Lecz serce przykrzy sobie w sług czeredzie,  
Do złego pana wre w niem złość zacięta.  
Skruszywszy — w twarz mu ciska szczerę łańcucha  
I taką wzgardą i groźbą wybuchą:  
„Precz z siódła, bożku tchórzliwy, Amorze!  
Jam jest twym twórca, dłoń na cię położę.

Jam cię uczynił panem w myśli miękkiej,  
Rabem dziś czynię cię w myśli mocarnej;  
Ja wszystkie wodze pragnę wziąć do ręki,  
Do mnie należy rumak Śmierci czarny”  
Skacze na konia i rusza z kopyta,  
Zuchwałym gestem nieskończoność wita,  
A pod karego wierzchowca podkową  
Świat, niby cmentarz, zadźwięka echowo.

GIOSUE CARDUCCI  
przełożyła Julja Wieleżyńska

## Ś P I A C Y

Całą noc błędę wśród sennych mar.

Idę lekko, idę bezgłośnie a szybko, zatrzymuje się, nachylam się z oczyma otwartymi nad zamkniętymi oczyma śpiących,

Błądę, wzruszam się, zatracam, zapominam o sobie, nie zgadzam się, przeciwstawiam, zwalniam kroku, spoglądam, nachylam się, stoję w miejscu.

Jakże uroczyście, jak spokojnie leżą,

Jak równomiernie oddychają te dzieci w kołyskach swych.

Widzę udreżone rysy ludzi przesyconych, białe lica trupów, czerwone twarze pijaków, chorobliwie szare oblicza tych, co sami sobie dają rozkosz,

Zwłoki na pobojowiskach z posoką z ran głębokich, obłąkanych w mocno zaryglowanych celach, głupków niewinnych a błogosławionych, nowonarodzonych, którzy przechodzą przez bramę i koniających, którzy przechodzą przez bramę.

Noc ich przenika, noc ich tuli.

Para zaślubionych spokojnie leży w łóżnicy, on położył dłoń swą na biodrze żony, ona położyła dłoń swą na biodrze męża.

Siostry łagodnie śpią w pościeli, jedna obok drugiej.

Mężczyźni łagodnie śpią w pościeli, jeden obok drugiego.

I matka śpi z dziećciem, objawszy je...

Ślepi twardy mają sen, śpią głusi i niemi,

Śpi spokojnie więzień w ciemnicy i śpi marnotrawny syn.

Morderca, którego jutro powieszają, jakże śpi? Jak on śpi?

I zabity — jak śpi?

We śnie spoczywa kobieta kochająca, lecz niekochana,

We śnie spoczywa mężczyzna kochający, lecz niekochany,

Śpi również głowa tego, który przez dzień cały układał plany i pieniądze i pieniądze zbierał chciwie,

Gwałtownik i zdrajca, wszyscy śpią.

Stoję w ciemności, opuszczając oczy przy tych, którzy cierpią wiele i niepokój ich wielki,

Wodzę nad nimi ręką z odległości kilku cali—uspakajam ich.

Wzrok mój przeszysza mroki — inne istnienia zjawiają się.

Ziemia ode mnie odchodzi w noc.

Widzę, że to było piękne i widzę też, że to, co nie jest ziemią — to piękne...

Chodzę od łóżka do łóżka, śpię ze śpiącymi, obok, nich, z każdym pokolei,

Przywidują mi się we śnie moim senne mary, marzenia tych, co usnęli,

Stają się tymi, co usnęli, śpiącymi.

Jestem tańcem — zagrajcież mi, kołuję wciąż szybciej i szybciej.

Jestem wiecznie roześmiany oto księżyc świeci na młodziku, oto zmierzch.

Widzę wesołe igraszki: chowanki. Wszędzie, gdzie spojrzę,

Wszędzie zwinne duchy i znów chowanki i chowanki znów, na morzu i w ziemi głębinach, i tam, gdzie nie morze, nie ziemia...

WALT WHITMAN

Z angielskiego spolszczył Józef Czechowicz

\* \*  
\*

Jak często nocą po męczącym dniu

I dziś zbudzony zostałem ze snu,

Księżyc na ściany blask rzucał promienny!

Spojrzałem w doliny głąb ciemną,

Jak senna zjawia dom twój stał przede mną

I zmów zasnąłem jeszcze bardziej senny.

HANS CAROSSA

Z niemieckiego spolszczył Zenon Waśniewski

## M O J A M A T K A

Szła życiem matka moja, pokutnica smutna,  
—dzień nie miał dla niej woni, ni barw, ni kwiatów kraszy;—  
owoce gorzkie życia—popiół i proch okrutny —  
bez odpoczynku, wciąż strząsała z drzewa czasu.

Ubóstwa ostry pył piękno jej twarzy smagał,  
i chłostał, i siekł oczy, i gasił w łzach promienie,  
jak samum burz zawieją na ścieżki dróg jej spadał  
i wśród swych fal schronisko budował jej znużenia.

Pod mrocznym trudem życia grzbiet się ku ziemi kłonił,  
gryzący pracy żar świeżość jej nerwów spalał,  
umiłowała śmierć, w śmiertelnej chwili agonji  
z warg jej dziękczynny szept w uśmiechu się wyzwał.

Na chłodny marmur świątyń kłękała w zamysleniu  
przed ołtarzami — w grobowych świec otoku,  
radości wonny deszcz i wizję odkupienia  
chwyciała w kielich duszy, jak rosę zórz z obłoków.

O matko ma, co w światło się wpromieniasz,  
ty złota strzało, co lecisz do ogniska —  
w tajemnic wieczny żar. Dźwięk twego imienia  
na falach naszych drga i wiem: tyś blisko.

Twej krwi wychłodłej bladziutkim jestem kwiatem,  
co dzięki łzom twym wypuścił pąk—tak wzrosłem;  
żywota mi smak cierpki wsączyłaś warg szkarłatem,  
a smutek duszy mej dziedzictwa twego posłem.

Kiedy zielona północ miesięczną świeci ciszą,  
ty wstajesz wtedy z grobu i ze mną łożę dzielisz:  
w oddechu swym rytm znany oddechu twego słyszysz,  
a w tali głosu mego znów żywa się weselisz.

W mych żyłach się rozgrzewa ciepło twojego ciała,  
twych oczu mrocznych blask do moich ocz przeplęwa;  
mistyczny zapał wiary, co duszę twą targala,  
w mą duszę ogniem krwawym i spalającym spływa.

I tak, jak twoja kiedyś, i moja droga smutna,  
bez woni jest dzień mój, bez barw, bez kwiatów kraszy;  
owoce gorzkie życia — popiół i proch okrutny —  
twym cieniem osłonięty, otrząsam z drzewa czasu.

(Z tomu „Tajemné dálky”)

OTOKAR BRZEZINA

Z czeskiego spolszczył Antoni Madej

\* \*  
\* \*

Ze szczęścia patrzenia  
oślepy,  
od daru słyszenia  
ogłuchły —

Na wietrze liść z miłością sam,  
w pętlicy ptak, w rozpachy śpiew,  
robak wśród róż, w nadziejach kłam,  
a w gardle szloch i w słowach krew —

Ze szczęścia patrzenia  
oślepy,  
od daru słyszenia  
ogłuchły —

FRANTISZEK HALAS

Z czeskiego spolszczył J. Surmacz

## BALLADA O MIŁOŚCI CYNICZNEJ

„Dobranoc, ukochany lech słuchaj:  
jeszcze imię mi swoje masz wyznać“...  
Imię moje? I pocóż ci ono?  
Tyś kobieta, ja jestem mężczyzna!

„Kobieta i mężczyzna... Lech słuchaj:  
jutro wieczór znów ujrzy nas las?“  
Pocóż plany snuć mamy na jutro.  
Niby wichur leci drogi czas!

„Że czas bieży, nie wiem... Ale słuchaj:  
jak ty myślisz, czym bardzo zgrzeszyła?“  
Ty, głuptasku. Jakiż grzech być może,  
gdy miłości ogarnie nas siła!

„Ach, mój miły, jestem taka słaba,  
to twych ramion potęgą działała“...  
— Nic to, dziewczę. Gdy minie dwudziestka,  
będziesz mocna jak granitu skała.

„Powiedz, miły, jakże się to stało,  
że się czuję tak słaba jak dziecko?“  
Wiosna winna, duszo moja, wiosna  
i północna ta pora zdradziecka!

„Ach, mój miły, pocałuj mię jeszcze,  
na policzki gorące me patrz!“  
— Dość całunków, dziewczyno. Pamiętaj:  
od całunków potem w sercu płacz!

„Zatem z Bogiem. Czy mię odprowadzisz?  
Taka późna, niezwykła godzina“  
Ach, nie można, Księżyc jasno świeci,  
mogą poznać nas jeszcze, dziewczyno!

JAN SMREK

Ze słowackiego spolszczył K. A. Jaworski

## PIEŚŃ WIOSENNĄ

Objąłem Wiosnę rozmarzonym,  
wpatrzonym w jej urodę wzrokiem,  
w jej domu wstąpiłem cichym krokiem,  
niosąc jej serca mego plony.

Kto żyć chce, ze mną, w wiosny  
[wrota.

Dziewczyno miła, tędy droga.  
Życie to przecież wielki bogacz,  
da miłość nam, gdy nie da złota!

Wiosna to samo miłowanie,  
góra to samo szczebiotanie,  
serce me fiołka wonny kwiat,  
na nim ust lubej został ślad.  
Gdy go zerwała krwią zbroczyło,  
gdy pokochała zatańczyło,

jej dwoje rąk do piersi go przypięło  
i serce na jej sercu bić zaczęło.

Słowiki, pieśń śpiewajcie nam,  
rozkoszną pieśń wiosenną:  
prześliczne miłe dziewczę mam  
młodziutkie i promienne!  
Złocista główka jej w tej chwili  
do mych się ramion ufnie chyli,  
wzrok jej w me oczy się wpatruje,  
wzrok jej me oczy wciąż całuje,  
szepcząc: miłować ciebie chcę...  
Ach, oczy śliczne, wiem to wiem.  
Stąd taki jestem dziś szczęśliwy.  
Stąd myślę: życie — cud prawdziwy,  
zielona góra, świeży las  
do nieba wprost prowadzą nas.

JAN SMREK

Ze słowackiego spolszczył K. A. Jaworski



## DZIEŃ JESIENNY

Panie: już dość. Upalnie było latem.  
Więc na słoneczny zegar połóż cień,  
Wysmagaj pola wichrami jak batem.

Owocom bladym każ wypełnić miąższ;  
Daruj im jeszcze choć dwa dni gorące,  
Niechaj dojrzeją obrócone w słońce,  
Ostatnią słodycz w winnem gronie zwiąż.

Kto teraz domu nie ma, zbudować nie zdąży.  
Kto dzisiaj jest samotny, długi czas nim będzie,  
Będzie czuwał, pracował, szukał czegoś wszędzie  
I będzie niespokojnie po alejach krążył,  
Jak liść porwany wichrem w obłąkanym pędzie.

RAINER MARIA RILKE

Z niemieckiego spolszczył Zenon Waśniewski

## W I E C Z Ó R

W krwi i purpury dzień zapadł powodzi,  
Strumień się bielą jak srebrem rozżarza.  
Nadpływa żagiel. A u steru łodzi  
Wznosi się wielka sylweta żeglarza.

Na wszystkich wyspach wszystkie leśne drzewa  
Czerwienią czuby, kąpiąc się w przestworzu.  
W głębiach wąwozów las pieśnią rozbrzmiewa,  
Jak brzęk gitary nad morzem o morzu.

Ciemność od wschodu na świat płynie falą,  
Jak wino-lazur z pęknięć wielkiej urny.  
Strojna w czerń szaty czeka już woddali  
Noc późna, wielka, wspięta na koturny.

GEORG HEYM

Z niemieckiego spolszczył Zenon Waśniewski

## S E R W Y

Przed snem  
jezioro biodra brzegów kołysze w topieli,  
jezioro — baśń zgubionej harfy Wajdeloty;  
cisza wieczoru idzie — welony mgły ścieli  
wśród szuwarów i świerkowych grotów

Lęk, co ptakiem wrywa się z piersi,  
gdy wzrok nurzam w sepji szklanej toni  
— to sen skrzypiec, deszcz wieczornych wierszy,  
zachwyty dłoni...

Kto cię zgubił pośród puszczy zakłęte,  
byś plókało księżycy pomosty  
w noc lipcową, co łuskę gwiazd ścieli  
u stóp świerków, wkrąg cichej topieli?..

W gwiazd namiocie szeroko rozpiętym  
śpi: spokojne, z legendy i proste...

IGNACY GAŚSIOR

## WIECZÓR NAD LWOWEM

## I

Aleje wytrysły u stóp.  
 Zwija się kroków rulon.  
 Park do ust przywarł jak plaster.  
 Wieczór zaplałał się w ciszy i w krzakach wróżących sen.  
 Od niezdobytych drzew luną odgradza się miasto  
 i tyłko, zachód odchodząc, swe błyski strąca z wież.

Mowa rytmiczna kroków kładzie się wzdłuż.  
 Zakręć o drogę spiera...  
 Boisz się w ciemność uderzyć wachlarzem słów?  
 Trudno uwierzyć,  
 że tu poranek koczował bledszy, niż miasta profil.

Wodotrysk światła dalekich korę obdziera z drzew,  
 Liście: blaszki cienkie uderzają nad nami.  
 W miękką wilgoć oddech się stacza kłujący.

Czy wyżej ciała wzniesić?  
 Tam: skrzypce ciągną ciszę wąską strugą —  
 i ludzie zapomnianych spraw.

Wyżej, gdzie czuwa samotny park.

## II

Ciepły wiatr aleje wypełnia.  
 Spokój zwisa u rzęs.  
 Księżyce popiołem srebrnym osypuje liście.  
 Usiądź. Pomóż słowom przepłynąć pierś,  
 bładą, dłonią odgarnij czarną smugę,  
 w twoim dotyku park uśnie.

Czujesz, jak życie naskórek wilgocia głaszcze?  
 Na złotych nitkach uwiesi się sen?  
 Do strumienia mych ramion nachyl gorącą twarz,  
 wiosna gwiazdami przysypie ci oczy.  
 To nie miłość, to tak jak wiersz:  
 synteza złudzeń.

ZDZISŁAW POPOWSKI

## L I S T

(fragment powieści)

Adamie, ojciec umarł naprawdę, widziałam go. Miał fioletowe usta, krzywił się. Obcy inny człowiek, który przestał żyć. Nie poznałam go, ale to był ojciec. Pamiętam, jak gryzie cukierki po obiedzie, niby nie z łakomstwa, lecz żeby oduczyć się papierosów, a teraz zamknęły się nad nim sufity mieszkania, wypchnęły go, leży w trumnie i w ziemi. Nie chciał umierać, siniał i prosił o życie. Potem przestał już mówić, stracił przytomność w podskakujących mięśniach, a twarz zaczęła ciemnieć w fiołkowe plamy. Myślał i mówił oczami, które stawały się coraz jaśniejsze, niebieskie, rozplływały się. Taki był koniec. Biała klinika i sztywniejące zwłoki. Przy łóżku matka i doktorzy, którym było przykro. Mnie ominął pierwszy widok rozluźnionego ciała, które było zadowolonym i egoistycznym czło-

wiekim, wpływającym teraz na straszne fale skrytobójczej biologji. Moim ojcem przez kroplę spermy, przez jedno włókno. Umarł, czy trzeba się namyślać, żeby o nim zapomnieć?

W domu nieład, jakby ktoś wyjechał daleko, tylko wyjechał. Kapelusze i płaszcze splątane razem na krzesłach, szaragi puste, odwrócone najprostsze porządki. Matka ma suche usta i gorączkę. Nie kochała go, nawet całe życie była niezadowolona, a teraz choruje. Histerja przynosi jej ulgę. Ale nie można wierzyć, histerja to choroba. Jestem zła na matkę: umarł przyjaciel, który nie był przyjacielem, a dał dzieci, to bardzo smutne. O pozwól mi nie wielbić przyzwyczajenia, nałogu tych mieszczańskich domów! Ale matka może już nie wyjdzie zamąż, jest inteligentna i za tęga, cerę ma dziewczęcą. Przyjechała siostra, szczupła, wysuszona od myśli o mężczyznach. Strasznie płacze, tusz jej się rozpuścił pod okiem, czarna i trochę przestraszona, jej mąż jest lekarzem, też może umrzeć. Możeby chciała nawet coś zabrać od mamy, naprzykład obraz z salonu albo dywan. Przyklepali ziemię nad ojcem i odeszli. Cmentarz pachniał ziemią, stolarzem i wilgotnymi kwiatami. Ludzie uważali, czy płaczemy. Pacjentki mrugały oczami. W jednej chwili, gdy czułam jak rozkładają się nieświeże róże, gdy z ziemi poszedł urojony zapach trupa, pożałowałam ojca, jak już tego nigdy nie odczuję. Zatrze się. Ale jak to może być: istniał, pracował, jego tabliczką nazywał się cały dom, on wybierał tapety, gdy mama wyjechała. Mój pokój także niebieski, a sypialnia: brudny zabieleny barszcz i wodniste brązowe meble, kolory dla ludzi, którzy przestali myśleć o miłości. Piątek: ruskie pierożki z marchewką i budyń, a czasem kotlet, w niedzielę kurczęta. Jego niema. Teraz nagle umarł. Co to znaczy żałoba? Nie stanie się większy, zniknie, wyparuje. Płacę ze wstydu i ze złości, że poszedł i nic nie powiedział. Raz tylko śnił się razem z nim, ze złemi dziewczynami, ale czego chciał? Do czego mnie chciał namówić? Wtedy jeszcze żył. Śmierć, czarna jak ziemia, w której się rozplywa, rozsypuje ciało ludzkie, podobne w miłości do gwiazdy. Mój ojciec był brzydki i łysiał. Wspierał dom. W kredensie zauważyłam talerz z resztkami potrawy, jakby już przyszedł niedostatek i trzeba chować resztki nazapas. Wzdrygnęłam się, pogardałam sobą. Mogę się zamknąć w pokoju i myśleć o Tobie. Wszyscy gdzieś oddzielnie płaczą. Mówię Ci to wszystko, jakbym nie umiała utrzymać tajemnic, które w rzeczywistości są najprostszymi spostrzeżeniami egoizmu. A może ojciec mnie kochał, tylko tego nie okazywał? Byliśmy odcięci od życia, a teraz wiesz, jaki jest mój pokój i jaki jest cmentarz mojego ojca, dlaczego nie płaczę, i bierzesz w

tem udział. Czy poczytujesz mi za złe, że Cię wciągam? Może nie... Jestem zmęczona fizycznie i nie myśl, że jestem nieludzka.

Wiesz, słońce zaświeciło, gdy znowu byłam na cmentarzu. Grobek był mały, jeszcze nie wysechł. Kwiaty zwiędły. Przyniosłam gruby ziarnisty jaśmin. Obok ojca inny dół czeka. Nie mamy grobu rodzinnego, bo to śmieszne: gdy się idzie do ziemi, wszystko już jedno. Tylko młodym mężatkom zależy na kolorze kołdry, pod którą zasypiają. W alei brzóz białe wykrzywione pnie opatrzyły się już śmierci dosyta, panie w czarnych welonach idą uważnie, by nad samym grobem dopiero stracić płacz, nie wcześniej. Słońce świeciło, późna wiosna wygrzewała się w cmentarnej ziemi. Po klonie lazło mnóstwo czerwonawych, czarno nakrapianych robaków: samcy i samice. Może to „grabarze“ ze wspomnień samotnego wieczoru dzieciństwa, z ilustrowanej zoologii i Fabre'a. Drgnęłam, ale słońce uspokajało. Na grobach czerniały kwiaty, życie, brzozy rosły. Robaki łaziły pilnie. Spojrzałam na grób. Moje nazwisko czarnymi literami, może to ja? Ja, która byłam z nim nieszczęśliwa. Z trudem i w porę uprzytamniam sobie, że to nie ja, tylko moja matka. Odetchnęłam, żyję Słońce świeci, przyjdzie deszcz, znowu pogoda. Wyrośnie autonomiczne życie grobowe, z ojca wypłynie trawa. Czy nie możnaby się z tem pogodzić? Nie, nie z religijności tak mówię, by to jakoś przesublimować, i nie z egoizmu, by zapomnieć o męczącej śmierci w rodzinie, o bólu, który jest tak głuchy, że niema nań rady Ale czy nie dosyć już tych śmierci?

Zawojowały nas. Tak długo rozdrabnialiśmy szczątki, aż przerośliśmy umarliną. Nie było we mnie jednej myśli żywej, któraby nie wyrosła z metafor o śmierci i o śmierciach. Dlatego, patrząc na wilgotny, niewykończony, podobny do rusztowania grób ojca, mogłam, to znieść. Ponieważ kochasz mnie. Walczówna osądziłaby: „Marja załatwiła śmierć ojca“, ale tak nie jest, ja z niej tylko zrezygnowałam. Zostawiłam duży perfumeryjny jaśmin i odeszłam. Z pewnym spokojem pomyślałam, że ojciec jest na cmentarzu i będę czasem zachodzić na grób. To wszystko, nawet Ty nie zażadasz ode mnie więcej dla ojca. Uświadomiłam sobie zresztą, niezupełnie łatwo, że i ja wkońcu umrę i będę leżeć w alei brzóz, oblezionych przez ludożercze robaki. Zobiektywizowałam się na chwilę. To nie jest szantaż duchowy, ja nie myślę o śmierci, nie dlatego nie zaglądam ojcu w oczy. Właściwie wycierpiałam już tę śmierć, ponieważ nie wpływa, grozi mi tylko brakiem pieniędzy Miłość żal i szczęście to Adam, to Ty Odejźmy od tamtych.

MARJA SZCZEPAŃSKA

## PRZEGLĄD POEZYJ

ANTONI MADEJ: LINJE I GRANICE. Nakładem Związku Literatów w Lublinie 1935.

Czy ten artystycznie wydany zbiorek, ozdobiony piękną wkładką Jana S. Miklaszewskiego, wnosi nowe wartości do ogłoszonej dotychczas w książkach poezji Madeja? Chyba nie. Bezwzględnie najlepszym tu utworem jest „Joanna d'Arc“, poemat znany już nam z poprzedniego tomiku „W grudzie ziemi“, „Michał Anioł“ i „Cezar“— próby syntezy poetyckiej posiadają ładne fragmenty, ale jako całość wydają się chybione. Pierwszą inspirowało życie tego tytana renesansu, jego sonety i dzieła sztuki, którym najwięcej uwagi poświęca autor. Ale tu nasuwa się pytanie: czy utwór może być naprawdę szczerzy i głęboko przeżyty, jeśli opiera się na wrażeniach, doznanych z reprodukcji? Poza wspomnianą „Joanną d'Arc“ w pierwszej części książki najlepsze są „Ostatni akord“ i „Kołysanka matki“. Zwłaszcza ostatnia zniewala beznadziejnością bolesnej prawdy, wyrażonej w surowo prostych słowach: „Czerwona krew. Krwi morze. Bagnetów las. O synku—nas z gwiazd, z ziemi i przestworzy wyszczują ludzie psy, zgonią wyły kul warcząc i żrąc. Za dużo męki w każdej nocy, za dużo bólu w dniach. W kościołach — kłam, w domach ciężko od przemocy.“ Druga część książki, zatytułowana „Kształty“, to jakby liryczny pamiętnik, pisany na marginesie dnia poety: spostrzeżenia, refleksje, wniknięcia, nastroje, Niektóre z tych drobiazgów wskutek odległości występujących w nich skojarzeń są dostępne tylko dla samego autora, ale większość z nich tłumaczy się wyraźnie: Nieraz spotykamy tu świeże, oryginalne przenośnie: „złote żuki — karawany na piasku Sahary“, „uczę się jeszcze — wszystkie ścieżki algebrą mej zadumy“, „wieczór jest poetą, zecerzy mroku składają czcionki zachwycających powieści“. Czasem uderzają trafne powiedzenia: „Miłość jest taka samotna“, „Trudniejsze nie jest najdalej. Tuż obok przechodzi wielkość“ (Ale poco jej w takim razie szukać aż w Cezarze?).

Ostatni zbiorek Madeja, utrzymując poziom, osiągnięty przez poetę w „Twarzy“ i „Grudzie ziemi“, jak już zaznaczyłem na początku, nie wnosi do twórczości tego poety elementów nowych. Dalszy etap rozwojowy i wyższy stopień osiągnięć artystycznych zapowiadają ogłoszone w czasopismach fragmenty poematu „Zwykła droga“

GRZEGORZ TIMOFIEJEW: Inny horyzont. Drukarnia Nakładowa Łódź 1935.

Druga książka Timofiejewa otwiera nam rzeczywiście per-

spektywę na „inny horyzont“, niż ten, który oglądaliśmy w zbiorze „Niema mnie w domu“ Wprawdzie w pierwszej części nowego tomiku słyhać jeszcze echa dawniejsze, jeszcze poeta walczy ze wspomnieniami dzieciństwa i trudno mu zapomnieć o „niebie ponad słodycz łaskawszem“, o „tej jednej jedynej najcięższej ziemi ogromnej“, po której „zostanie na zawsze jakiś ślad, jakaś blizna nieugaszona“, ale już stopniowo wyzwala się z kompleksu obcości. W wierszu „Gdzie mój dom“ stwierdza: „owszem po obcej wędruję ja ziemi, ale jest moja pod stopami memi. Tak stanie dom mój aż po słońce jasne. Jestem w nim, żyję“... Co więcej, tutaj właśnie na ziemi nowej ojczyzny uczy się „na wszystko patrzeć oczami uzdrowionego ślepeca“ i tutaj właśnie uświadamia sobie, że trzeba „grudę przearać i zasiać ziarnem“. Stąd budzi się w Timofiejewie pragnienie czynu (à la Krasieńskiego „zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje“ — „czas uderzyć w czynu stal“), bo „w historii najbardziej szerokie dale otwiera jedynie stal!“ Zwłaszcza, gdy żyć wypadło w tak przełomowej epoce, gdy „dzień każdy jak granat wybucha i raniąc zdarzeniami pryska“ (lakoniczny „Dzień“, jakżeż w skąpych wyrazach prawdziwy i przekonywający!), gdy czerwony Wiedeń walczy na barykadach, gdy „bataljony prą bataljony“ do nowej wojny, gdy wciąż gdzieś wybucha „włoski strajk“, bo „zwalnijają, obniżka“, gdy bezdomni w grobach cmentarnych szukają schronienia, a nędza ludzka w chuci miłosnej i wódce szuka pociechy („Miłość uliczna“ — wiersz nazbyt już jesieninowski, żywcem przypominający „Moskwę kabacką“ zwłaszcza w zwrotce: „Graj harmonjo -- spływają wśród smutku czyjejsz sukni faliste falbany. Ach, zachłysnąć się wódką i paść w kołowrocie pijanym!“). Czy można więc w takim czasie „myśleć o wierszach i słowa dobierać“, a nie wiedzieć, „jak umierać w ogniu ulicznych barykad“! Ale w wierszu „On i ja“ znajduje autor usprawiedliwienie swej roli jako poety: „Wiem ja, waży czyn nie słowo, nie trzy lecz pięćset, waży tysiąc... Lecz kto światło podejmie i głowy w przededniu zwycięstw?“ Część satyryczna zbioru „Epoka“, wpadająca nieraz udatnie w ton norwidowski, uzupełnia interesujący zbiorek, który Timofiejew nazywa dokumentem, dodając: „to szal nie artystyczny, ale fanatyczny“ Nie zgodzę się jednak z tem zdaniem: mimo pozorów więcej w tej książce artyści, niż fanatyka.

(P. S. Do norwidowskiego dialogu we „Fraszce“ wkradł się brzydki rusycyzm: „Przy c z e m tu kamień?“)

OSTATNIE MIESIĄCE BIEŻĄCEGO ROKU obfitują w rocznice literackie: dwudziestopięćciolecie śmierci M. Konopnickiej, stulecie zgonu K. Brodzińskiego, dziesięciolecie odejścia S. Żeromskiego, dwudziestopięćciolecie śmierci L. Tołstoja, stulecie urodzin G. Carducciego i M. Twaina i dwa tysiące lat od przyjścia na świat Horacego—oto najważniejsze pozycje jubileuszowe.

W ZWIĄZKU Z DWUDZIESTOPIĘĆCIOLECIEM ŚMIERCI KONOPNICKIEJ warto zajrzeć do jej „Obrazków”. Może nas dzisiaj razić w nich lekka sentymentalna i jaskrawość dydaktyczna, ale nie wystygł jeszcze żar gorącej miłości poetki do ludu i szlachetne oburzenie jej na niesprawiedliwość socjalną. Czytając w r. 1935 o losie dzieci, marzących w „izbach piwnicznych”, o Jasiach, który „nie doczekali” wiosny, o bosych obdartusach, chodzących z gwiazdą, i innych niedolach „wolnych najmitów”, wyczuwamy nieprzemijającą, niestety, aktualność tych wierszy na tle naszej współczesności społecznej. Niewiele pod tym względem w ciągu pół wieku się zmieniło, a może zmieniło się na gorsze: dla niejednego bezdomnego lub mieszkająca dzisiejszych baraków „piwniczna izba” wydałaby się pożądanym schroniskiem, a „Przed sądem” trzeba było odczytać na niedawnej rozprawie piętnastoletniego Poletka w Sandomierzu.

W SPRAWIE AMNESTJI literaci przeważnie milczą. Z głosów, jakie ostatnio odezwały się w tej palącej kwestji, notujemy doskonały artykuł Haliny Krahełskiej, zamieszczony w „Robotniku”

11 LISTOPADA W LUBLINIE został poświęcony kamień węgielny pod budowę „Domu Pracy Kulturalnej”, w którym znajdą siedzibę wszystkie zrzeszone w Związku Pracy Kulturalnej organizacje, między innymi i Związek Literatów Lubelskich.

NIE WĄTPIMY o czystości i bezinteresowności pobudek, które skłoniły Łobodowskiego do opublikowania w „Wiadomościach Literackich” „Smutnych porachunków”. Dużo w tem, co pisze, jest służności. Podziwiamy jego odwagę i rozumiemy, że nie przyszło mu to z łatwością, że przeżył wewnętrzną tragedję. A jednak niektóre wynurzenia byłego wydawcy „Dźwigarów” czytamy z prawdziwą przykrością. Nawet w tej poważnej, zdawałoby się, enuncjacji nie mógł się Łobodowski ustrzec tak częstej u niego fanfaronady (ustęp o „opinji publicznej”, o wierszach, pisanych w więzieniu wojskowym „na ścianie”. Po rosyjsku nazywa się to „risowat'sia”). A co powiedzieć o ryczałtowym zarzucie pod adresem lewicy społecznej: „Kupa spryciarzy liczytuje się w miłości do proletariatu”? Tak się jednak nie żegna swych byłych towarzyszy broni. Poniosł, jak nieraz już, młodzieńczy temperament. kaj

NOTUJĄC UKAZANIE SIĘ PRZEKŁADÓW Z POEZJI NIEMIECKIEJ (George, Hofmannsthal, Rilke Przekłady, Leopold Lewin, Warszawa 1936, nakładem księgarni F. Hoesicka) stwierdzamy modne dzisiaj prądy, zbliżające nam literaturę niemiecką choćby na odległość słupów granicznych. Z prozą, jak z prozą, pół biedy, gorzej by'ło zawsze z poezją, która w homeopatycznych dawkach przesączała się do nas. Winne tu były różne, mniej lub więcej usprawiedliwiające czynniki, poczynając od politycznych, kończąc na trudnościach językowych. A że prawda leży zawsze pośrodku i lenistwo nasze również, doszliśmy do takiego stanu przyswojenia literatury zachodniego sąsiada, z którym nolens-volens losy sprzęgły nas o miedzę, że każde tłumaczenie, każdy dobry przekład, staje się zjawiskiem niecodziennem, skwapliwie notowanem na cierniowym i ugornym szlaku naszego kulturalnego współżycia.

Wśród pięćdziesięciu tłumaczeń wierszy, wybranych ze spuścizny trzech, wymienionych poetów niemieckich, znajdujemy mocniejsze i słabsze, lepsze i gorsze, dotrzymujące jednak kroku oryginałom i zasługujące na podkreślenie. Choć byłibyśmy skłonni podszeptać tłumaczowi o nakazach równości rytmu, doboru wyrażań, o płynności wiersza, zamykamy oczy na falistość terenu, zdając się na łaskę i niełaskę wehikułu, wiozącego nas „Przez białe stępy” na „Salę złotego blasku”, gdzie „Oboje” nucimy „Pieśń podróżną”, a „Noc księżycowa” przypomina nam „Dzieciństwo” i „Samotność”, zaś „Dzień jesienny” zbliżającą się „Śmierć poety”

Zajechaliśmy w krainę Rilkego, samotnika, wsłuchanego w szmer klepsydry uciekającego życia, wpatrzonego w wizje żyjących posągów i chwile przedśmiertnych zmagañ, wplatającego z gestem rozrzutnika nowe kwiaty słów w stary wieniec niemieckiej mowy, przekuwającego dawną jej oschłość i twardość w niespotykaną dotychczas miękość i finezję.

Z zapasów tych wyszedł Lewin obronną ręką.

— zw —

## „WIECZÓR PIEŚNI LUDOWYCH I INSCENIZACJI“ W KRASNYMSTAWIE

Staraniem Powiatowej Komisji Oświaty Pozaszkolnej w Krasnymstawie został zorganizowany w mies. października b. r. „Wieczór pieśni ludowych i inscenizacji“, z udziałem najlepszych zespołów teatralnych i chórów ludowych pow. krasnostawskiego. Na program złożyły się: inscenizacje szeregu pięknych pieśni ludowych, występy chórów, oraz fragmenty znanego w całej Polsce, barwnego widowiska regionalnego „Wesele lubelskie“ Zespoły wystąpiły w oryginalnych strojach ludowych lubelskich. „Wieczór pieśni“ poprzedziło przepiękne słowo wstępne o teatrze i pieśni ludowej, wygłoszone przez prof. p. Wiktorję Patrynowną.

### ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. PAW. H. w WARSZAWIE. Dziękujemy za wiersze. Tłumaczenie zamieścilibyśmy może w drugim półroczu.

P. SEW. P. w WARSZAWIE. Dziękujemy za miły list. Zamierzamy drukować część przekładów z Pasternaka i coś z Chlebnikowa, ale obawiamy się, że książka ich druk w „Kamienie“ uprzędzi.

P. L. PAST. w WARSZAWIE. Dziękujemy za uprzejmie nadesłane wiersze. Prosimy o nas nie zapominać.

P. L. KUT. w Krasnymstawie. Wzmiankę zamieszczamy. Z uprzejmie załączonych wierszy p. Boj. nie da się skorzystać. Serdeczne pozdrowienia.

P. MAK w WARSZAWIE. Dziękujemy. Zatrzymujemy w tece „Jesień“. Może zamieścimy.

P. EUG. ZIEL. Nadesłane wiersze świadczą o pewnym talencie, ale jeszcze nie nadają się do druku w piśmie literackim.

P. ST. S. w Kiwercach. Dziękujemy za list. Z nadesłanych drobiazgów zatrzymujemy „Rozmyślania“.

P. WIK. G. w KAMIENIU KOSZYRSKIM. Dziękujemy. Z części wierszy skorzystamy w przyszłości.

P. CZ. J. w WARSZAWIE Istotnie, „Wspomnienie o Marysi“—wiersz, lepszy od poprzednich. Dziękujemy. Zamieścimy w drugim półroczu.



PISMA I KSIĄŻKI NADEŚLANE

- Biuletyn Polsko-Ukraiński № 130 — 134  
Dekada № 5 — 8  
Front Polski Zbudzonej № 33 — 37  
Głos Powiatu Radzyńskiego № 5 — 6  
Kronika Nadbużańska № 43 — 48  
Miecz № 75 — 79  
Miesięcznik Literatury i Sztuki № 1 — 3  
Nazustricz № 20 — 22  
Nowa Wieś № 6  
Nurty № 1  
Okolica Poetów № 8  
Pion № 44 — 47  
Poprostu № 7 — 8  
Prosto z Mostu № 44 — 47  
Reduta — Tydzień Polski № 39  
Sztegn № 4  
Tęcza № 11  
Tygodnik Ilustrowany № 44 — 47  
Wici Wielkopolskie № 10  
Zet № 10 — 12  
Mieczysław Braun: Żywe stronice, Warszawa, Hoesick 1936  
Stanisław R. Dobrowolski: Powrót na Powiśle, Warszawa,  
Hoesick 1935  
Tadeusz Peiper: Poematy Koło Wyd. „Teraz“ 1935  
Stefan Napierski: Ziemia, siostra daleka. Tow. Wydawn.  
Warszawa 1936  
Rafał Len: Śmierć XX-go Okręgu, Łódź, Druk. Nakładowa 1935